Lwów, 1. Lutego. №14. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycimy mód kwartał. 1 Złr.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksiegarni *H. W. Kallenbacha*

## CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

*J. I. Kraszewskiego.*

(Ciąg dalszy.)

Paweł Żużel, z którego opowiadań tę historją łatam jak mogę, dodając do niej szczegóły jakichem się później od starych ludzi w tej okolicy zamieszkałych dowiedział, stał w ganku w czasie tej sceny, której wyrwane słowa uszu jego dochodziły, stał i truchlał ze strachu. Po odejściu bryki która wiozła Turzona i Wilę, pozamykał drzwi a że mu od rana w gotowości być kazano na wszelki wypadek, siadł na ławce i ponuro się zamyślił.

Po krzyku ostatnim, nie tylko w domu całym ale i po podwórzu się rozlegającym, głęboka cisza nastąpiła we dworze, jakby złowroga chwila pokoju, który poprzedza burzę, by ją uczyniła gwałtowniejszą i straszniejszą. Ławka na której siedział Żużel tak była umieszczoną od słupa do ściany ganku, że z niej doskonale widać było co się działo w pierwszej izbie, a że blask dniowy przecinały drzewa stare i szyby przepalone nie łyskały odbiciem jego, oko szlachcica mogło rozeznać nie tylko sprzęty i osoby, ale nawet drobne przedmioty pobliskiego, pustego pokoju, w którym przed chwilą miała miejsce rozmowa.

Wzrok oczekującego bezczynnie błądził bezmyślny po ścianach, po wiszących na nich portretach starych i kołowaciał wytężony na jedno miejsce z braku zajęcia.

Dość długo izba całkiem była pustą, nagle drzwi się boczne otwarły znowu, zabłysło w nich blade światełko i wszedł Hawnul trzymając coś na ręku. Co to było, z razu Żużel rozeznać nie umiał, ale bielizna obwijająca ciężar który niósł przyciśnięty do piersi, uderzyła ekonoma. Hawnul zdawał się być nie przytomny i cały zajęty tem co wniósł do izby, oczy jego spoczywały utkwione w tym tajemniczym przedmiocie, który nie bez wachania, powolnie, z ostrożnością złożył na wielkim stole w pośrodku izby.

Dopiero w pieluchach rozsłonionych rozeznał bladożółtą, jakby woskową twarz maleńkiego dziecięcia, którego ciałko z dala rozeznać było można, że było martwym od dawna. Hawnul jednak nie zdawał się tego postrzegać lub wierzyć temu nie chciał, zbliżył swe usta ku niemu, szukał niemi oddechu, śledził ruchu, oddalał się, przysuwał, cofał, kładł i rzucał martwe zwłoki nowonarodzonego.

Niema rozpacz miotać się nim zdawała. Cisza głęboka, zaklęta, panowała wśród tej sceny bolesnej, tak że byłbyś posłyszał listek upadający z drzewa i przelatujący powietrze. Żużel powiada że zmartwiał, gdy nagle, niewiedzieć zkąd, śmiech straszliwy i długi dał się słyszeć w pokoju, ale nie z ust Hawnula pochodzący, inny, zimny, suchy jak szelest traw na błotach, jak chrzest gałęzi w lesie. Hawnul głowę odwrócił, oczy wlepił w jeden z portretów, coś na nim widać postrzegł przerażającego, ale Żużel nic już więcej nie zobaczył tylko w jedną stronę padającego na wznak pana, a z drugiej osuwający się z łoskotem ze ściany i obalający na podłogę, portret Polykarpa Huńcewicza.

Wbiegł zaraz do izby ratować omdlałego, który padając o stół sobie głowę rozkrwawił. Choć z niemałym strachem zbliżyć mu się do niego przyszło, larum zrobił wielkie w domu, zbiegli się ludzie, podniesiono Hawnula, poczęto go trzeźwić, a że nie łatwo przyszło do przytomności go przyprowadzić, wysłano zaraz po doktora do miasteczka. Tymczasem trup dziecięcia w tem zamieszaniu pozostał na stole w pierwszej izbie zapomniany.

Żelazni to dawniej byli ludzie, bo po tylu wstrząśnieniach i jakiemś nadzwyczajnem zjawisku które o ten stan przyprawiło Hawnula, nie zdawało się żeby mógł powstać rychło na nogi, a jednak nim lekarz nadjechał z miasteczka, nim zmierzchło, już przyszedł do siebie, z łóżka się zerwał i rozepchnąwszy sługi, leciał do swojego dziecka.

Proszę sobie wystawić struchlenie przytomnych którzy za nim w ślad do izby się wcisnęli, bojąc się by go drugi raz rozpacz nie obaliła, gdy na stole nie ujrzeli zwłok nowonarodzonego, pieluchy tylko rozrzucone po ziemi, a drzwi na rozcież otwarte.

— Co się stało z dzieckiem? zasyczał Hawnul, gdzie dziecko moje? kto się śmiał dotknąć dziecięcia?...

Nikt nie odpowiedział, ale część sług rozbiegła się do pani, do kobiet, dowiadując, szukając, i w krótce co żyło zebrało się do pierwszej izby, ale nikt o dziecięciu nic powiedzieć nie umiał.

To pewna że w czasie gdy Hawnul leżał bez przytomności omdlały, nikt do domu nie wchodził i progu jego nie przestąpił, parobcy poglądali na drzwi, osób kilka było w dziedzińcu, byłby ktoś widział przecie.

Porwał się za włosy Hawnul, oczy mu stanęły słupem i po raz pierwszy ludzie go zobaczyli strasznym rykiem zachodzącego się od płaczu.

Nie były to łzy zbolałego człowieka co ulgę przynoszą, ale ryczenie rozpaczy, ale coś strasznego jak napad choroby, przenikającego obecnych do kości i włosy im jeżącego na głowie. Chwilami ryk ten ustawał nagle, to znowu z piersi wybuchał jękiem okropnym, rozgłośny, potężny, pełen słów dziwnych, połamanych wykrzyków, płaczu, wyrzutów, gniewu i złości.

A że się miotał wśród tego niesłychanego ryku jak opętany, ludzie go pochwycili przez litość i chcieli zanieść do łóżka, ale obróciwszy się, otrząsnął tylko i jak pył ich od siebie odrzucił. Twarz zakrywszy rękami dziwnemi głosy się zachodził, gdy drzwi idące wprost od pokoju chorej żony do pierwszego, które zawsze bywały zamknięte, rozwarły się i kobieta w bieli, blada, wielkiej piękności, z czarnemi zaognionemi oczyma, nagle wybiegła z nich, stając przeciwko niego. Chociaż z razu postrzedz jej nie mógł, bo oczy miał zakryte, Hawnul jakby przeczuł to ukazanie się żony, odpędził ludzi wskazując im drzwi ruchem ręki rozkazującym, i pozbywszy się ich, zatrzasknąwszy wnijścia, stanął jak obwiniony przed sądem, w obec niewiasty, której wzrok szukał naprożno czegoś jeszcze więcej prócz niego.

Żużel sam z całego tłumu dworaków przyzostał pod drzwiami i niepohamowana jakaś ciekawość oko jego zwróciła w szparę, przez którą mógł reszty tej sceny być świadkiem.

Nic, jak powiada, strasznieszego w życiu swojem nie widział. Kobieta jak cień wybladła, schorzała, drząca, stała we drzwiach słupem, a olbrzym ów silny przed chwilą, oparty o stół winowajca, zginał się unikając wejrzenia jej oczów. Trwało to chwilę tylko.

— Gdzie dziecię moje? odezwał się głos kobiety, Samuelu! tyś je porwał odemnie? gdzie jest dziecko moje? powiedz.... mów nielitościwy coś z nim uczynił?

Hawnul milczał z głową spuszczoną, po chwili wyrzekł niewyraźnie.

— To był trup, to był trup.... dziecię nie żyło...

— Kłamiesz, chybaś ty sam je zabił... żyło, żyło dziecię moje! tyś sam je zabił... dziecię moje, oddaj mi dziecię, zbójco, oddaj mi syna... weź życie żony, oddaj syna!

— Cicho szalona kobieto, stłumionym głosem rzekł mąż, nie wywołuj z piersi mojej gniewu, z oczów płomieni, z rąk,.....

Ale mu głosu zabrakło.

— Cóż? myślisz że się lękam? zabijesz mnie jak zabiłeś dziecię, o! ja się już tego nie boję, odpowiedziała, nic mnie już do życia nie wiąże, wczoraj bym cię była o nie prosiła, dziś wołam śmierci jak wyswobodzenia.

— Ale na Boga ci się klnę kobieto, przerwał Hawnul bijąc się w piersi z rozpaczą, że najstraszniejsza tajemnica otacza mnie w tej chwili, niewiem sam co się dzieje ze mną. Przyniosłem je tu ogrzewając piersią moją, położyłem chcąc odżywić dając mu część życia mego... gdy nad głową dał się słyszeć śmiech szatański, śmiech grobowy, i padłem przerażony nim o ziemię.. Patrz, oto ślad na skrwawionej skroni mojej, gdym powstał, jużem nieznalazł dziecka naszego, porwano je, skradziono, sam nie wiem co się z nim stało.

Kobieta słuchała drząca, a oczy jej padły na pieluchy leżące na ziemi, przybiegła ku nim, podniosła je, przycisnęła do piersi, łzy puściły się z jej oczów, tuląc bieliznę do łona, siadła na ziemi bezprzytomna, jakby niemowlę karmić miała.

— Tak, odezwała się po cichu, jam nie powinna była mieć dziecięcia, anim godna była pożegnać istoty która żyła ze mną i ze mnie, w której była część mojej krwi i część mojej duszy. Za grzechy moje, za grzechy ojca musiał Bóg porwać ją odemnie. Na cóż się było spodziewać? Musiałam dać życie trupowi obumarłemu przed narodzeniem, jakiejś poczwarze, a dla siebie męczarni, nie mogłam, niepowinnam była ujrzeć ani uśmiechu dziecięcia, ani posłyszeć płaczu co życie poczyna. Ojciec jego zbrodniarz, ja z obręczą żelazną na szyi niewolnica, zamiast miłości łączyła nas z jednej strony namiętność bydląt, z drugiej przestrach niemy... Szalbierz związkowi błogosławił świętokradzką ręką którą złoto ususzyło, rodzice nas odrzucili, świat nas odepchnął, ludzie się wyrzekli wzdrygając, nie! nie! jam nie mogła mieć dziecięcia.

I zaszła się od srogiego płaczu, a Żużlowi słuchającemu pod drzwiami włosy stanęły kołem. Hawnul wytrwał niemy, wysłuchał na pozór chłodny, zbliżył się, wziął ją na ręce, jak dziecię i nieopierającą mu się, na poły omdlałą, wyniósł do drugiej izby.

Tyle widział i słyszał Żużel, a dzień ten takim go jakimś zabobonnym przejął przestrachem, że postanowił zaraz się odprawić, i zabrawszy manatki swoje uciekać z Krasnego. Ale do wieczora wybrać się nie mógł, a nazajutrz rano, gdy panu przyszedł za służbę dziękować, zastał rzeczy tak wielce zmienione, że mu się wczorajsze wypadki marą i sennem wydały widziadłem.

O dziecku mowy już nie było. Hawnul wyszedł ku niemu z twarzą dawniejszą, bez śladu prawie rozpaczy i niepokoju, zimny, pan siebie i prawie szyderski. Znać było że temu co wczoraj się stało, sam już nie wierzył i inaczej to sobie jakoś tłumaczyć musiał.

Żużel oglądając się trwożliwie po izbie dostrzegł tylko że portretu Polykarpa Huńcewicza nie było ani na ścianie, ani na podłodze i całkiem gdzieś zniknął.

Hawnul jakby się domyślił o co go Żużel miał prosić, niedał mu nawet ust otworzyć.

— Miałeś waść dosyć przykrego zajęcia pod te czasy,

rzekł spokojnie — jestem kontent z waszeci... wybierz sobie ze stada parę klaczy z łoszętami, a nie mów mi o zmianie kondycyi, bo o tem i słyszeć niechcę. Rozpakuj manatki i pozostań z nami... źle ci nie będzie.

Rodzaj daru szczególniej ujął nadzwyczaj Żużla. Szlachcicowi gdyby był dał bodaj jakie tysiąc złotych, wszystko nie to, co parę klaczy ze źrebiętami; trafił w słabą stronę przebiegły Hawnul, dając mu zamiast jakiej takiej rzeczywistości, droższą nad wszystko nadzieję. Para klaczy!! to całe już stado w przyszłości, a co pociech! co marzeń, a co kłopotu! Żużel za kolana go ścisnął i ujęty tym darem, pozostał.

W domu powróciło wszystko do dawnego porządku, drzwi się znowu pozamykały, ustały wymówki i płacze, pani legła w łóżku... o dziecku ani słychu co się z niem stało. Hawnul się prawie nie pokazywał, wyszedł obdarowawszy ekonoma, zamknął się i oko go ludzkie nie postrzegło więcej. Czeladź, że się niezmiernie obawiała pana, ani pisnęła o wypadku wczorajszym, i po cichu tylko między sobą, ścian i okien unikając, słówko czasem rzuciła, ale cała historya ta po za granice Krasnego nie wyszła.

W tydzień jakoś potem wypadło Żużlowi objeżdzać granice majątku, a że po ekonomsku myśliwym był z nudy i z potrzeby, bo zajączek lub ptak jaki dla stołu jego nie był obojętnem nabyciem i charty jego włóczyły się za nim wszędzie czy chciał czy nie chciał, byle wsiadł na koń, — i tą razą czereda się za nim poniosła. Właśnie około nowej Semenowej barci z pod nosa Czerkiesowi dał susa stary szarak z kotliny i drapnął w łozy. Cała zgraja poszła za nim, a koń Żużla przywykły do dojeżdżania za chartami ani go wstrzymać, popędzili się więc przez błoto wprost na Czerczą mogiłę. Nie wiadomo co się stało z zającem i bardzo być może, że wedle zwyczaju w takich razach, musiał dać nurka w znajome sobie lisie nory na hrudku, bo go charty z oczów straciły, a Żużel nie oparł się aż w takich troszczach, że koń mu się w nie po brzuch zapakował. W tem, słyszy a tu psy wyją, szczególniej stary Szumlas gończy, wyga na jedno oko ślepy, który zawsze chartom dotrzymywał kompanii, począł się aż zachodzić dziwnym głosem koło Czerczej mogiły.

Żużel który miał powracać do Semenowej barci, począł psy nawoływać, ale ani sposobu, larum ogromne zrobiły koło mogiły, i wyją a wyją aż strach.

— Co u licha? pomyślał ekonom, kiego tam źwierza napytały, że się tak drą?

Pchnął więc konia przez ciekawość i wydobywszy się z rudy, po kępach, ostrożnie, pod zaroślami dostał się na twardy grąd, na którym stał ów kurhan rozkopany.

Spojrzał, wszystkie psy jego siedzą w koło i wyją, zbliżył się, i włosy mu aż na głowie powstały, tak okropny widok uderzył oczy jego. Na samym mogiły wierzchołku leżało nagie ciałko niemowlątka, niedawno narodzonego, straszliwie poszarpane, pokłóte dzióbem i szponami ptastwa porozdzierane w kawałki.

Mógł jednak Żużel rozpoznać w niem, jak powiadał trup dziecięcia, który znikł z izby w owym dniu pamiętnym. Kto go tu zaniósł, jak się tu dostało na pastwę dzikim źwierzętom, nie umiał sobie wytłumaczyć. Skóra na nim zadrżała, ostygł, obejrzał się, przeżegnał i już nieoglądając się na psy swoje ruszył co żywo do domu.

W pierwszej chwili myślał zaraz dać znać Hawnulowi, ale głębiej wziąwszy te rzeczy zawahał się. A nuż go Hawnul posądzi? A nuż ta wiadomość na nowo go wprawi we wściekłość? Z drugiej strony, możnaż bez pogrzebu zostawić niewinne zwłoki? A jeśliby je sam pochował, czyby z tąd nie urosło podejrzenie i niebezpieczeństwo dla niego?

Nie wiedzieć co było począć i Żużel mocno się zafrasował, ale że do Hawnula, mimo to wszystko był jakoś niewytłumaczonym sposobem przywiązany i obawiał go się niemniej jak szanował, dobrze się namyśliwszy i rozważywszy, poszedł do niego. Wedle zwyczaju potrzeba było po trzykroć zapukać do izby w której siedział, w nagłym razie, ale teraz i pięć powtórzyć musiał nim mu ze środka wnijść dozwolono.

Hawnul siedział na stołku pod piecem, sam jeden z głową zwieszoną, czegoś zbladły i zastygły, spojrzał na wchodzącego i odezwał się gniewnie:

— Czego mnie waść turbujesz? rób sobie co chcesz, wszakżem wszystko zdał na ciebie, niemasz mnie co pytać.

— Ale bo to rzecz taka — wypadek — z którym ja sam niewiem co począć, odpowiedział Żużel z niskim ukłonem.

— Cóż to takiego? obojętnie spytał gospodarz... głupstwo jakieś...

Choć nie bardzo zręcznie, zmieszany ekonom ułożył opowiadanie swoje, a postrzegłszy wrażenie jakie ono czyni na Hawnulu, ledwie je trzy po trzy mógł dokończyć, pan Samuel jak sprężyną dźwignięty powstał z siedzenia, ręce załamał, oczy mu stanęły słupem i krzyknął ogromnym głosem, od którego Żużel aż struchlał:

— Moje dziecko! moje dziecko!

I z tym krzykiem, bez czapki, wyrwał się z izby, roztrącając sprzęty. Żużel pogonił za nim, ale nie było sposobu dopędzić ani zatrzymać, przez płoty, przez rowy, przez zarośla, oszalały biegnąc znikł mu z oczów Hawnul, nim go potrafił doścignąć. (C. d. n.)

# MOHORT W WARSZAWIE.

**Ustęp z poematu Wincentego Pola.**

(Dokończenie.)

Kiedy nazajutrz słońce w pełnym blasku
W Wiśle zagrało, poił Mohort konia

W Wiśle na drogę; w tem tętent przez błonia
I jakieś wierzchy wymykają z lasku.

Mohort się spojrzał — a tu jedzie Książe
Na czele całej dobranej młodzieży,
I woła: «Teraz Pan Mohort uwierzy
Że kiedy służba to i na czas zdążę;

Z rozkazu Króla mam oddać tę zbroję,
I konia z rzędem, i niech Bóg prowadzi!
A jeźli wolno, składam służby moje,
Bobyśmy gościa przeprowadzić radzi.»

— »I owszem proszę! rzekł Mohort wesoło,
To mi to życie, kiedy takie koło;
Jabym odprawić miał taką drużynę?
Ja proszę z sobą choć na Ukrainę!

A w tem nadjechał królewski Koniuszy,
Prowadząc konia, koń był wielkiej duszy,
Oczy jak gwiazdy, jako piekło chrapy,
Szyja jak łabędź, a piersi jak wrota,
Rząd staro-polski, aż kapał od złota,
Choć przysłoniony tureckiemi kapy.

Koniuszy odkrył tyftyk — a u boku
Upięty pancerz i szabla w wytoku,
Szyszak na łęku, a tuż przy szyszaku
Spływa proporzec pancernego znaku.

Spojrzał się Mohort i podumał głową,
Koń parsknął raźno — a on krzyknął — »zdrowo!
Zdrowo mój kosiu! — takiego bachmata
Daj Hetmanowi, a przejdzie kraj świata!»
Pogłaskał konia i nareszcie powie:
»Ha komu w drogę, temu czas panowie!»

I z koniem ruszył pan Koniuszy przodem,
Książe po lewej, Mohort po prawicy,
Reszta za nimi, i wolnym pochodem
Jadąc ku Górze w równej okolicy,
Spojrzeli czasem ku murom stolicy...

Ranek jesienny był bardzo pogodny,
Ale od wschodu pociągał wiatr chłodny,
Ktoś ich dopędził — patrzą — ktoś w wilczurze
Pędził i stanął — «A to ja Ogiński,
Stary przyjaciel partyi ukraińskiej,
Z rannym obiadkiem czekam Panów w Górze.»

I jakoż w Górze, z południa dopiero,
Pana Mohorta pożegnano szczero,
I tu dopiero kiedy na podziękę
Do strzemiennego wyciągnął już rękę,
Siedząc na koniu pieśń starą zaśpiewał,
Którą dziękował gdy podjętym bywał:

«Czas do domu czas!
Zabawili nas!»

---

# JEDNODNIOWKI.

(Ciąg dalszy)

Stało się to jakoś, że pan Michał, podłysiawszy nieco, napowrót wolność odzyskał. Wraz z czupryną pozostały wprawdzie za nim niepowrotnie stracone złote marzenia i sny bohaterskie; z mniejszym atoli bólem ponosił stratę tych snów niżeli niepowetowanej niczem czupryny. Marzenia bowiem jego zwiędły i uschły, a co się zostało, zdmuchnęły wiatry nieprzyjazne. Stanął on znowu pośród swego społeczeństwa z umysłem świeżym i sercem wrażliwem, i czekał nowych wrażeń i pomysłów.

Otaczający go atoli byli innego o nim zdania. Czoło jego, sporo podłysiałe, nabrało u nich pewnego uroku, jaki zazwyczaj otacza skronie wielkich mężów, widziano na niem więcej rozumu i bystrości myśli, niżeli w dniu hetmaństwa i kanclerstwa jego. Nie tak wszakże widział te rzeczy sam pan Michał. Jak pierwej patrzał na własny swój obraz szkłem teleskopowem, tak teraz odwróciwszy je, widział siebie w tak niepociesznej miniaturze, że nie wiedział, czyli z niego los zażartował, czyli w istocie tak samo się zmienił, jak się po dziś dzień zmieniła „ziemia obiecana.“ Tego jednak odkrycia nikomu wręcz nie udzielił, a widząc rolę swą w społeczeństwie co raz trudniejszą, uchylił się w końcu od niego pod różnemi pozorami.

Nie przyjmując nikogo, żył samotnie, zapełniając czas gospodarstwem i czytaniem dzienników gospodarskich. Różni różnie o tej zmianie pana Michała sądzili.

— Z więzienia wynosi człowiek hipochondryą, mówili jedni.

— Nawet misantropią! dodawali drudzy.

— Wy nic nie wiecie, szepnął ktoś; on pracuje dalej nad planem zorganizowania armii wshodniej, gdy będzię czas potemu. To człowiek myślący, a taki nigdy nie próżnuje!

— Ba, nawet na jarmarku w Tarnopolu, wałęsał się z jakiemsiś „subjektum,“ co wcale nie miało «odorem sanctitatis!“

— Gdzież tam, odrzekł ktoś, to był komisarz rządowy!

— Walenrod, zawołano chórem — Konrad Walenrod, dodał powiatowy bibliograf.

Gdy więc podobna o panu Michale wyrabiała się opinia, chodził on milczący i niezadowolony, mruczał niezrozumiałe słowa i zawiłe zdania, a najmocniej nie lubił, gdy o jego najbliższej przeszłości wspomniano. Zdawało mu się, że uczynił coś nader niedorzecznego, a chociaż nawet wielu było, co na przeszłość patrząc okiem pobłażania i piękne tylko jej strony wydobywając, z pewnem uszanowaniem do pana Michała przystępywali, on jednak odpychał od siebie wszelką podobną ostentacyę, w której prócz ironii nic więcej nie widział.

I znowu poszedł tą samą drogą ostateczności, z której powrócić usiłował, a dręczony obrazami przeszłości, nie wiedział, że biegł kierunkiem, ubliżającym sercu i charakterowi.

Owoż zdarzyło się, że jadąc z Tarnopola ujrzał pan Michał na drodze jakiś wóz wywrócony, i siedzącego nad rowem brodacza. Brodacz wyglądał coś na szlachcica z Stryjskiego, miał minę butną i z pogardą spojrzał na lekki koczyk i cztery siwki pana Michała. A że pan Michał już dawno nie dziwaczył, a teraz chętka potemu była, więc kazał stanąć siwkom i do brodacza się odezwał:

— A zkąd to panie!

— Z daleka panie! odrzekł brodacz z najskromniejszą miną, do jakiej tylko ułożyć się mogła jego broda kędzierzawa i czoło dumne i butne.

— To jakiś niedźwiedź, co się składa do tańca — mruknął pan Michał pod nosem — ale i ja przecież jadał szpaki!... Trzeba go wziąć i poratować.

I w samej rzeczy za chwilę siedział brodacz w wygodnym koczyku, rozumie się po lewej stronie pana Michała, a rozmawiając z nim o gospodarstwie, burakach i gorzelni, rozwinął tyle chemicznych i agronomicznych wiadomości, że pan Michał widział już hojnie czyn miłosierdzia wynagrodzony i teraz blogie z niego pożywał owoce.

Zajechano przed kolumnę pałacu, a brodacz obejrzawszy się w koło westchnął, a niby łzę w oku rozdusił.

Gospodarz zapytał się grzecznie o przyczynę tego rozczulenia.

— Wspomnienia dawne, odparł zapytany.

— Wspomnienia! westchnął pan Michał, a pieczęć kanclerska stanęła mu żywo przed oczy.

Po obiedzie zaprosił gościnny gospodarz brodacza na fajki do wielkiej sali, w nadziei, że go może tam na jakie słówko wyciągnie, bo w czasie obiadu milczał brodacz upornie, jak najmędrszy rabin.

— Złe mamy czasy — zaczął pan Michał mierząc brodacza od stóp do głowy — nie możemy być pewni, czy przybywający w dom gość jest wilkiem czy baranem!

— Zapewne, zapewne — mruknął brodacz i osłonił się kłębem dymu przed okiem gospodarza.

— Słychać, że chodzą po kraju emisaryusze — dorzucił w złości gospodarz, bo przez dym nie mógł właśnie twarzy brodatej widzieć.

— A tak mówią, bąknął nieznajomy.

— Tożby znowu prawdziwa klęska na kraj spadła!

— Nie na wszystkich, odrzekł brodacz i spojrzał po obrazach antenatów. Jeźli się nie mylę to herb Junosza, byli to wielce zasłużeni mężowie!

— Jestem Junosza — rzekł pan Michał.

— Imię to wkłada wielkie obowiązki na tego, co je nosi.

— Dałem tego dowody, że poczuwam się do tych obowiązków, gdy tego żądano odemnie, chociaż byłem przekonany, że popełniam błąd....

— Błędy w życiu politycznem nazywają się zbrodnią....

— Prawda, prawda była to zbrodnia..... przerwał w ferworze pan Michał — a gdyby kto dzisiaj poważył się przyjść do mnie z podobnym projektem, sam bym go związał i władzom oddał!

— I ja bym był podobnego zdania, odparł z flegmą brodacz.

Usłyszawszy tę odpowiedź, dziwno się jakoś zrobiło panu Michałowi, który w brodatej i butnej personie mówiącego, coś innego wietrzył. Wszystkie jego domniemywania upadły, bo widział przed sobą zwyczajną postać człowieka. Zwyczajna ta wszakże postać zaczęła nagle jakąś nadzwyczajną konwersacyą:

— Prawdę pan mówisz — rzekł brodaty z pewną poufałością, która już sama uwagę pana Michała zaostrzyła — że emisaryusze roznoszą klęski po kraju. Pobudzają oni naród do bezskutecznych wysileń, zagrzewają pojedynczych do kroków szalonych, które nigdy nic dobrego nie przyniosły. Wszakże należałoby się bliżej nad istotą owych podburzeń zastanowić. Usiłowania dotychczasowe, aby bronią odzyskać to, cośmy konsekwencyą dziejów naszych utracili, wyszły z jednej klasy narodu, która dotąd wyłącznie go reprezentowała, to jest, szlachty. Wszelkie dotąd powstania, były powstaniem szlachty, które tem samem udać się nie mogły, że ich autorowie byli „corpus mortuum“ któremu w dziejach już dawno pomnik położono. My, nowej wiary apostołowie, za inną broń chwytamy, za broń archanioła! Ściśniętemu w szeregi nieprzyjacielowi poszlemy masy ludu niezliczone, jak gwiazdy na niebie, a na takim zastępie pękną żelazne zapory! Jestem apostołem tej idei! Wiąż mnie! albo weź z mych rąk mandat naczelnika trzech obwodów.

— Ani jedno, ani drugie — zawołał pan Michał, błądząc myślą w półcieniach, w jakie wprowadziły go słowa brodatego.

— Cały kraj musi się zdecydować jasno — i podzielić na dwa obozy, *pro* albo *contra.*

— A czyby nie można być neutralnym? zapytał nieśmiało były organizator armii wschodniej.

— Nie, odrzekł stanowczo brodacz.

Pan Michał gryzł cybuch w zębach, czuł, że przed jego wzrokiem wschodziła jakaś nowa jutrzenka, ale osłaniała ją jeszcze czarna chmura wspomnień nie miłych.

— Nie pojmuję jeszcze tej sprawy — odezwał się po chwili.

— Otóż słuchaj bracie, zaczął z poufałością przybyły. Dotąd w usiłowaniach naszych szliśmy drogą dziejową, czyli inaczej, tak zwaną, narodową. Był to ciąg dalszy naszego wątku dziejowego, kantynuacya owych konfederacyj szlacheckich. Odtwarzając atoli tym sposobem mar-

twe dzieje przeszłości, wzięliśmy cienie umarłych za potęgę rzeczywistą i nie dziw, żeśmy się oszukali. Skarbiec bowiem przeszłości naszej dziejowej zamknięty i przywalony kamieniem grobowym, a sąd historyi wycisnął na nim pieczęć, aby ta przeszłość nie zmartwychwstała upiorem. Do tej przeszłości należy nowe włókno nawiązać, a tem samem wpleść ją w pasmo całej dzisiejszej ludzkości. Dostąpimy tego, przenosząc usiłowania na pole *zasady bezwzględnej*. Pod taki sztandar zasady zgromadzimy siły narodu, które dotąd na uboczu bezczynnie stały, a działając w ich interesie, oprzemy się o egoizm ludzki ową silną dźwignią historyi i cywilizacyi, którą my atoli dotąd zapoznawali. Masy ludu rzucimy na scenę odmłodniających się dziejów, bo źródło naszej potęgi będzie w ówczas niewyczerpane! Dla ludu przez lud, to hasło nowej ery dziejowej, a społeczność nasza pójdzie przodem do tej ziemi obiecanej!....

Pan Michał usiadł w krześle poręczowem, i oparł głowę na dłoni. Miał-bo co oprzeć, bo w głowie jego osiadły nagle masy ludu nieprzeliczone jak piasek w morzu, i zahuczały jakąś mową niepojętą, nie zrozumianą, jak roje pszczół w dębie stuletnim. Była to jakaś dzika, okropna harmonia, i słychać było pękanie strón, i jęk i grzmoty, a jak błyskawica piorunu, przebiegała te obrazy, dawne, nieugaszone niczem pragnienie serca szlachetnego. I powoli szykowały się masy bezkształtne w zastęp walczących, tworzyły jakieś dziwne, olbrzymie postacie, niby postacie wyzywających Goliatów, mając przed sobą ludzi wzrostu Dawidowego. Była to zupełnie nowa myśl dla pana Michała, a było w niej tyle uroku i fantazyi rzutnej, tyle obrazów mglistych, tyle treści i postaci, ile tylko najdziwaczniejsze chmur marcowych kształty rozognionej chorego wyobraźni dostarczyć mogą.

Marzył i śnił pan Michał, oparty na poręczy krzesła, i wcale nie wzbraniał, że brodaty demon wcisnął mu do ręki patent naczelnika trzech obwodów, i pełnomoc rozrządzania masami tychże.

— Wszelako, dodał gość, do tak wielkiego celu nie przychodzi się bez ofiar. Uważając *zasadę* za punkt wyjścia, trzeba jej godnym się okazać. Trzeba zrzucić z siebie te szmaty historyzmu, które się dotąd wloką za nami i nas w pochodzie tamują, a zapłaciwszy dług przeszłości, wejdziemy w nową epokę żywota jak ludzie nowi bez przesądu, tradycyi i podobnych innych nabytków szlacheckich. Liczba antenatów nie będzie odtąd zasługą; zostawieni z swemi dziejami w przedsionku nowej ery, będą stanowić styrane, bezużyteczne sprzęty, porzucone bez porządku i systemu.

Po tej deklamacyi spojrzał brodacz po malowanych Junoszach, co snać gospodarz zrozumieć musiał, bo ścisnąwszy go za rękę, rzekł do niego:

— Nie, bracie, nie zawiesiłem ich tu dla tego, abym się nimi szczycił, ale.... że to... był spadek po moim ojcu, który w testamencie dla nich uszanowanie mi przekazał. Lecz spodziewam się, że już dosyć je szanowałem — dodał dowcipnie — wiszą przeszło lat czterdzieści! (C. d. n.)

## Listy gospodarza wiejskiego. *)

### IV.

Dotknąwszy w pierwszych trzech listach sprawy przyszłego zarządu rolniczo-przemysłowego zakładu w Dublanach, poważyłem się zwrócić uwagę publiczności na męży, którzyby zadaniu swemu nietylko sprostali, ale zarówno utorowali pewną drogę do przyszłej świetności zakładu, i do szczęśliwego obrotu krajowej rolniczej przyszłości. — Tą razą niechaj mi wolno będzie w trzech innych listach rozwinąć niektóre myśli o Dublanach, nabytych na rzecz szkoły rolniczej — o towarzystwie rolniczem, i o tym wzajemnie obowiązującym stosunku, w jakim każda szkoła i towarzystwo rolnicze stoi do kraju — a tenże do nich. Listy te nieodbędą się bez zestawienia tu i owdzie niemiłych obrazów, i bez ustępów gorzką wypełnionych prawdą. Ależ inaczej być nie może tam, gdzie się toczy walka przeciwko zarozumiałości i jednostronności, napotykanej u nas tak często u ludzi, których nie głęboka nauka i obszerna wiedza, ale pewne trafem lub urodzeniem narzucone tak zwane wyższe stanowisko towarzyskie, ośmiela do narzucania swoich spaczonych pojęć cierpliwej publiczności. Ależ inaczej niemoże być tam, gdzie grzeszna obojętność zamożnych obywateli, albo w niczem nieprzyczyniła się, albo dorzuciła jakby z miłosierdzia grosz skąpy do ubogiej narodowej skarbony, z której ma powstać zakład naukowy dla szczęścia przyszłych pokoleń. I w końcu niemoże inaczej być tam, gdzie ogólna apatya do wszystkiego, co jest sprawą publiczną, co jest obowiązkiem dla społeczności, owładnęła kraj cały **)

Krótki ten wstęp zdawał się być potrzebnym, aby każdego z czytelników uprzedzić o duchu pisma, a tym sposobem zaostrzyć uwagę tych, którym każdy głos w sprawie publicznej krew w żyłach zagrzewa, a święte natchnienie do udziału nagli; tych zaś uprzednio odepchnąć od narodowej sprawy, u których tenże sam głos, jest głosem wołającego na puszczy, a wszelkie natchnienie nietylko nieznane, ale wyszydzone; serca ich bowiem skośniały pod szronem mroźnego egoizmu, a rozum ich zamknął się w brudną skorupę skąpstwa.

---

*) Redakcya Nowin umieszcza wszystkie jej nadsełane rozprawy obejmujące rzecz o gospodarstwie wiejskiem, pod jedną nazwą — „Listów gospodarza wiejskiego“ — Z tąd w środek między moje trzy listy pierwsze, a listy terazniejsze umieszczono dwa listy innych korespondentów. Ponieważ zaś listy moje przedstawiają niejako całość obejmującą sprawę przyszłości zakładu rolniczo-przemysłowego w Dublanach, i powodzenie c. k. galicyjskiego towarzystwa agronomicznego — i ponieważ w interesie tym samym przemówił korespondent listu IV. w Nr. 118 Nowin — zapatrując sie na stan rzeczy z odmiennego stanowiska, przeto dla uniknienia możliwych nieporozumień oświadczam, że listy moje następne pod tym samym znakiem △ wychodzić będą jak pierwsze trzy w Nowinach umieszczone,

**) Pan J. B. R. jako autor listu IV. umieszczonego w numerach 117 i 118 Nowin r. z, zapatruje się na stan przeszły i terazniejszy kraju naszego przez szkiełka różowe, i dlatego niemoże dostrzedz tej obojętności dla wszystkiego co dotyka dobra i sprawy publicznej.. — Unikając z tego względu wszelkiej bezpośredniej polemiki, odsyłam szanownego pana J. B. R. do następnych dwóch listów moich, w których pośrednio znajdzie odpowiedź na uczynione mi zarzuty, a pozbywszy się szkiełek różowych, używanych może i z innych powodów, zobaczy rzeczywistość nie tak pomyślną jak ją nam przedstawić usiłuje.

Ze szczupłych funduszów, które moralna praca i troskliwe zabiegi zgromadzić zdołały, nabył upoważniony do tego Komitet Lwowskiego towarzystwa rolniczego, wieś Dublany, na rzecz i własność przyszłego zakładu i szkoły rolniczo przemysłowej. Przypatrzmy się tej majętności ziemskiej nieco bliżej, aby ocenić czy kupno to ze względu na przyszłość swoją było szczęśliwym wyborem.

Dublany oddalone o trzy ćwierci mili od Lwowa, a ćwierć mili od traktu Warszawskiego, wiodącego na Żółkiew. Położenie Dublan górzyste, z wystawą po większej części południową, z glebą urodzajną, i tylko na stokach północnych nieco sapowatą. Płaszczyzna Dublan zajmuje w zaokrąglonych obszarach 250 morgów pola ornego, 315 morgów łąk, 41 morgów pastwisk, 101 morgów lasu a zatem łączną przestrzeń 707 n. a. morgów.

Dwieściepiędziesiąt morgów pola ornego jest pod względem obszaru aż nadto dostateczną przestrzenią do przeprowadzenia każdej rotacyi, każdego rolniczego systemu, obok którego dadzą się z łatwością pomieścić rozliczne inne doświadczenia i próby, niezbędne w każdym zakładzie rolniczo-naukowym, jeżeli ten jako wzór ma być użytecznym krajowi, oszczędzając mu szkodliwych doświadczeń a zalecając to, co się w praktyce okazało użytecznem.

Położenie Dublan, obejmujące obok znacznych płaszczyzn znaczne wyniosłości z południowemi równie jak i północnemi stokami, zaleca się tak samo na zakład rolniczy, jak i gleba, która tam z szarego iłu powstała. Ił szary utworzony z najdogodniejszej przymieszki glinki, krzemionki, a tu i owdzie z małym dodatkiem wapna, wymaga w prawdzie troskliwej, mechanicznej i chemicznej uprawy, zwłaszcza od północy — gdzie gliniasty pokład z braku silnego wpływu słońca — rolę w sapowatą zamienia — ależ zato niema rośliny gospodarskiej, którąby w troskliwie uprawionym ile do podziwu niebujała. Dla tych więc przymiotów, tak pod względem położenia, jak i składu chemicznego ziemi, zalecają się Dublany na zakład rolniczy krajowi, który jak nasz ma położenie górzyste u podnóża Karpat, i rozległe płaszczyzny spływające na kraj w równinach podolskich i tych porzeczach, które tak cudnie barwią brzegi licznych rzek naszych. Dublany przeto mogą być przykładem i wzorem, równie goralowi, jak i mieszkańcom płaszczyzny — zwłaszcza że z małym wyjątkiem, pokład urodzajny ziemi w całym kraju z iłu szarego utworzony, różniący się tylko jaśniejszą lub ciemniejszą barwą w miarę im mniej lub więcej pruchnicą nasycony.

Łąki w Dublanach, jak wszystkie w okolicy Lwowa od Żółkwi, rozciągają się na nieprzebytych trzęsawiskach, które atoli przez stosowne osuszenie i system irrigacyjny w najżyżniejsze zamienionemi być mogą. I jest nadzieja: że przy zapobiegliwości komitetu agronomicznego i przy życzliwości rządu, trzęsawiska te, ciągnące się od Buga na Jaryczów aż po trakt Warszawski — stosownym kanałem wkrótce osuszone będą, bo tak rządowi, jak i prywatnym właścicielom tych bagnisk wielce zależy na tem, aby kilkadziesiąttysięcy morgów moczaru zamienić w przystępne pracy ludzkiej i w obfite w zdrowe siano łąki. — Potrzeba jak najspiesznięjszego przeprowadzenia rzeczonego kanału najbardziej w tym roku czuć się daje, bo pominąwszy, że te ogromne obszary łąk w dzisiejszym swoim stanie stosunkowo bardzo małą ilość kwaśnego i zamulonego siana wydają — to i do tego gdy łagodna zima przystąpić niemożna, a każdy z właścicieli patrzy jak drugi Tantalus na te skarby, które się z każdym dniem z pod ręki jego wymykają — grzęznąc krociami kopic w rozkisłych bagniskach; rząd zaś, pomimo nieprzejrzanych przestrzeń łąk pod samym Lwowem, pomimo ogromnych tak blisko będących zapasów siana, sprowadzając go z odległych okolic, po bajecznych cenach opłacać je musi. — Strata, którą ponieśli obywatele przez zgnicia i niedostępność, a rząd przez opłatę dalszych transportów, jest w tym jednym roku niezaprzeczenie tak wielką, że kosztem jej cały kanał w mowie będący, ze wszystkiemi irrygacyjnemi śluzami i przyrządami utworzyćby można.

Jest więc niepłonna nadzieja, że nagląca potrzeba zmusi do podjęcia tej pracy, którą dotąd przez niepojętą opieszałość i obojętność zaniedbano, a rozległa przestrzeń 315 morgów dziś bagnistych łąk przybierze zupełnie inną postać w Dublanach, bo mądry zarząd okaże, jak przy zapobiegliwości i stosownych środkach, z każdej piędzi ziemi korzystać można. — I na tych dzisiejszych bagnach powstaną gaje drzew liściastych, prędko rosnącej olchy, osiki, iwy, brzozy, topoli nadwiślańskiej, wierzby, akacyi pospolitej i innych, a pośrodku tych liściastych cieni, zielenieć się będą bujne w kwiaty przystrojone łąki, i błogosławione złotym kłosem role. Bo czegoż niedokaże praca, przy pomocy kapitału i rozumu.

Kraj zachęcony tak pomyślnym skutkiem pójdzie za przykładem a krocie morgów dziś odłogiem leżących i kisnących łąk, przywdzieją strojną w pożytek narodu szatę.

Tak więc będą Dublany i pod tym względem wzorem dla kraju i niejednego obywatela wydobędą z kłopotu, co dziś w Stryjskim albo w Samborskim nie wie co począć z swemi bagnami.

Przestrzeń lasu choć niezbyt znaczna, jest wszelako dostateczną, aby na 110 morgach okazać przykład dobrego gospodarstwa leśnego, mianowicie gdy dodamy wzrastającą z czasem kulturę leśną na osuszonym obszarze łąk Dublańskich.

Czterdzieści jeden morgów pastwisk jest niemniej dostatecznym miejscem dla przechadzki i zabawy znaczniejszego inwentarzu, który w dobrze urządzonem gospodarstwie żywność znajduje w oborze, a ruch potrzebny w polu. Z resztą w razie potrzeby znaczniejszej przestrzeni, znajdzie się takowa w biegu roku na ścierniskach lub na oddzielonej pewnej części łąk.

W końcu ujść niepowinny uwagi dwa stawy, dziś w prawdzie zamulone i całkiem zaniedbane, ale powstające z wody miejscowej, źródlanej i mocno nad poziom łąk przyległych wzniesionej. Stawy te stosownie zawodnione i zarybione, przyczynią się nietylko do wskazania uczniom na drodze praktycznej sposobów chowania ryb, i do podniesienia tej u nas niegdyś kwitnącej, a dziś zaniedbanej gałęzi gospodarskiej, ale nadto, jako wielkie i nad poziom wzniesione zbiory wodne, użyte być mogą do rozlicznych przedsiębierstw technicznych.

Przy tych wszystkich rolniczo- gospodarskich zaletach, jest toż samo niepospolitą korzyścią dla zakładu naukowego w Dublanach bliskość Lwowa, bo pomijając wiele innych wspomnę o dogodnościach, które wynikają z łatwości zaopatrzenia się we wszystkie potrzeby naukowe, z łatwości komunikacyi towarzystwa agronomicznego z zakładem, możności nawet udzielania uczniom nadzwyczajnych przedmiotów, przez nauczycieli, przybywających ze Lwowa, i z tej sposobności, z której każden gospodarz niezaniedba korzystać, ażeby będąc we Lwowie, nieodwidził Dublan. Spodziewać się tożsamo należy że na później wystawa zwierząt domowych, narzędzi rolniczych i wszelkie próby niemi odbywane przeniosą się stale do Dublan, przez co obok rzeczywiście przeważającej korzyści naukowej dla uczniów, i publiczności, przybędzie i znaczniejszy dochód z prowentów miejscowych. — Kupno więc Dublan na rzecz zakładu rolniczo-przemysłowego, jest najszczęśliwszym wyborem, który uczynić nakazywały okoliczności, ze względu na fundusz, na rozmaitość położenia i siłę produkcyjną ziemi, w końcu na odległość od stołecznego miasta. — Komitet przeto c. k. galicyjskiego towarzystwa agronomicznego, odpowiedział zupełnie zaufaniu w niem położonemu, a przez nadzwyczajną ogledność wywiązał się najchwalebniej z przyjętego na siebie obowiązku — bo jak to już z pobieżnego opisu widzimy, odpowiadają Dublany pod każdym względem przeznaczeniu swemu. Lecz czy dosyć mieć Dublany, aby mieć zakład wzorowe-

go gospodarstwa i szkołę rolniczo przemysłową? Majętność ziemska jest dopiero punktem oparcia, jest dopiero szczęśliwym początkiem, jest wstępem do przyszłości zakładu rolniczo przemysłowego, dlatego niepowinniśmy zapominać na łacińskie przysłowie:—Si finis bonus, laudabile totum. Dlatego niepowinniśmy cieszyć się zawcześnie z dokonanego czynu, ale czuwać troskliwie nad każdym krokiem, zbliżającym nas do pożądanego laudabile totum.

Czy zaś kraj cały, czy wszyscy członkowie c. k. galicyjskiego towarzystwa agronomicznego, uznali niezaprzeczoną prawdę przytoczonego przysłowia, a przeto zajęli się szczerze przyszłością zakładu rolniczo - przemysłowego w Dublanach, i czy dla jego pomyślności i wzrostu odpowiednich dostarczyli środków, przekonamy się z listów następnych.

**Przyjechali** od dnia 29. do 31. Stycznia do Lwowa.

PP. Batowski Aleksander, z Kulikowa. Smarzewski Piotr, z Moczerad. Skrzyszewski Józef, ze Sewerynki. Papara Henryk, ze Zubowych mostów. Łodyński Piotr, z Prusinowa. Kalinowski Władysław, hr. z Bakowiec. Skarbek Seweryn, hr. ze Strzelisk. Zagórski Wincenty, z Podborec. Ujejski Bronisław, z Melny. Cielecki Ludwik, z Łoziny. Tretter Hilary, ze Sanoka. Kruszewski Henryk, ze Sambora. Pajączkowski Józef, ze Sambora. Łukasiewicz Kajetan, z Chocimierza. Teodorowicz Jerzy, z Potoczka. Rodkiewicz Józef, z Krzywego. Dzieduszycki Zygmunt, hr. z Medowy.

PP. Siemianowski Franciszek, ze Siemiginowa. Stadnicki Jan, hr. z Boratyna. Puzyna Roman, z Rawy. Babecki Kajetan, z Byszowa. Kłodziński Adam, z Parchacza. Tustanowski Juliusz, ze Zarówna. Raciborski Napoleon, z Czernolicy. Tretter Konstanty, z Łonia. Szczepański Władysław, z Wiśniowczyka. Szczepański Józef, z Danilcza. Majerski Stanisław, z Krakowa.

**Wyjechali** dnia 29. do 31. Stycznia ze Lwowa:

PP. Krajewski Michał, do Turki. Duniewicz Edmund, do Nowoszyc. Morawski Włodzimierz, do Olary. Dzieduszycki Władysław, hr do Jezupola. Kakowski Jan, do Tarnopola. Dzieduszycki Juliusz, hr. do Zborowa. Bogdanowicz Maxymilian, do Przemiwółki. Łączyński Hipolit, do Liska.

PP. Bobowski Leon, do Cykowa. Smarzewski Seweryn, do Hankowic. Poten Konstanty, br. do Czerniowiec. Czajkowski Robert, do Brodów. Manasterski Józef, do Toporowa. Żarski Kazimierz, do Kulawy. Skrzyszewski Józef, do Sewerynki. Smarzewski Piotr, do Moczerad. Baworowska Emilia, hr. do Krakowa.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 31 b. m. o g. 2. po połud.**

| | | | |
|---|---|---|---|
| Augsburg za 100 złr. . | $127\frac{3}{4}$ | Pożyczka 5% $82\frac{5}{16}$ 4½ | — |
| Hamburg za 100 tal. banco | $93\frac{3}{8}$ | Akcye banku . . . . | 1015 |
| Londyn za 1 funt szterl., | 12 17 | Kolej północna . . . . | $1976\frac{1}{4}$ |
| Medyolan za 300 lirów | — | Obl. ind. . . . . . . . | 80 |
| Paryż za 300 franków . | $148\frac{1}{4}$ | Nowa pożyczka z loteryą | $102\frac{3}{16}$ |
| Agio duk. ces. . . . . . | — | Pożyczka narodowa . . | $86\frac{3}{16}$ |

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

| | | Gotówką | | | | towarem | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Dukat holenderski . . . . . . . . . | złr. | 5 | kr. | 51 | złr. | 5 | kr. | 54 |
| Dukat cesarski . . . . . . . . . | « | 5 | » | 55 | » | 5 | « | 58 |
| Półimperyał zł. rosyjski . . . . . . . | « | 10 | « | 9 | » | 10 | « | 12 |
| Rubel srebrny rosyjski . . . . . . . | » | 1 | « | 58 | « | 1 | » | 59 |
| Talar pruski . . . . . . . . . | » | 1 | « | 53 | » | 1 | « | 55 |
| Polski kurant i pięciozłotówka . . . | » | 1 | « | 25 | » | 1 | « | 26 |
| Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu | » | 92 | « | — | » | 92 | « | 25 |
| Obligacye indemnizacyjne z kuponami. | » | 76 | » | 25 | » | 76 | » | 40 |
| Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu | | 75 | « | 10 | „ | 75 | „ | 25 |





Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**